



No 3 (15)

Marzec 1923.

Rok II.

Prawda i kłamstwo w szkole.

—o—

Ze względu na wielką wagę poruszonego zagadnienia dla rozwoju wszelkiej indywidualności i dla realnego życia zamieszczamy poniższy artykuł jako *dyskusyjny*, zapraszając kolegów i koleżanki do zabrania w tej sprawie głosu.

Redakcja.

W jednym z numerów „Młodziak z Podlasia“ zostało stwierdzone, że główną bolączką, tyczącą się współzycia szkolnego jest kłamstwo. Nasuwa się teraz pytanie: jakie kłamstwa bywają w szkole, jakie jest ich podłoże i gdzie szukać przyczyn zła? Ustalmy narazie fakt, że w szkole istnieje mnóstwo powodów do kłamstwa i że my sami nie jesteśmy przyzwyczajeni do mówienia prawdy. Ten brak poczucia prawdomówności podtrzymuje częściowo stosowanie nieumiejętnych środków wychowawczych, sprowadzających cały szereg nowych wykrętów, środków, które w rzeczywistości nie zapobiegły żadnemu kłamstwu.

Nasi profesorowie niezawsze umieją przeszkodzić temu złu. Często nawet, nie wglębiając się w istotną treść wypadku, nie wnikając bliżej w intencje czynu, sądząc rzecz powierzchownie bez prawdziwego zbadania i oceny, dają mu możliwość rozwoju. Naszej karności szkolnej brak pogłębienia psychologicznego. Ilekroć to nieszczeroci i skrytości gromadzi się w młodych duszach po

takiem rozstrzygnięciu kwestji, które unika zbadania głębszych pobudek postępowania młodzieży, nie troszczy się o jej duchowe konflikty i tym sposobem zabija wszelką ufność i wiarę ucznia w stosunku do profesora.

Z drugiej strony brak szczeroci i zaufania oraz brak odwagi w przyznaniu się do winy jest dowodem braku poczucia odpowiedzialności wewnętrznej. Człowiek, który ma dosyć siły i energii wykonać coś, powinien mieć tyleż hartu i odwagi, by ponieść skutki swych czynów, przyjąć płynące z nich konsekwencje. Zresztą złudzeniem jest tylko, że fałsz może się kiedykolwiek ukryć. Prędzej czy później prawda wyjdzie na wierzch, a na obliczu młodemu zawsze pozostanie piętno obłudy.

Nietylko względem nauczycieli nie wszyscy grzeszymy prawdomównością, ale nawet wśród nas, w stosunkach koleżeńskich, objawów kłamstwa jest niemało. Wypływa ono najczęściej z uczuć i zależności społecznej. Albowiem zdaniem niektórych, aby nabrać większej wartości w oczach towarzyszy, należy chwalić się, wysuwać naprzód swą osobę lub też ukrywać swoje postęпки, któreby mogły dać powód do lekceważenia lub żartów. I to kłamstwo wśród kolegów (względnie koleżanek) rozwija się nietylko w klasach młodszych, lecz i u starszych znajduje chętnie posłuch, zataczając coraz szersze kręgi.

Kłamca, dopóki udają się mu wszystkie jego sprawki, cieszy się uznaniem, gdyż potrafi przedstawić siebie w jaknajkorzystniejszym świetle. Z chwilą jednak, kiedy wszyscy poznają jego faktyczną wartość, odniosą się doń z pogardą, nie czując ani odrobiny życzliwości i sympatji.

Niekiedy jednostka taka pragnie się wyżyć wady, która odstręcza od niej ludzi, miłujących prawdę, lecz bądź to niema dostatecznie silnej woli, bądź też brak jej zachęty ze strony ogółu. Zaczyna wówczas uświadamiać sobie całą grozę swego postępowania, czuje pogardę nie tylko dla swych postępów, ale i dla siebie samej. To oddziaływa już ujemnie na całą istotę wewnętrzną jednostki, odbiera jej chęć do pracy, pozbawia wszelkiej nadziei, że z upadku tego podźwignąć się zdoła i stanąć na wysokości swej ludzkiej godności.

Typ przeciwstawny—to człowiek prawdomówny, inaczej rzetelny. W pojęciu rzetelny zawiera się wszystko, do czego poczuwać się powinien człowiek sumienny t. j. mający głębokie poczucie odpowiedzialności w stosunku do wszelkich swych obowiązków prawnych i moralnych. Rzecz zrozumiała, że człowiek taki cieszy się powszechnym poważaniem i szacunkiem.

Każdy więc powinien kierować się prawdą, bo chociaż prawdomówność może być dla nas krzyżem, ale wyższe życie jest przedewszystkiem życiem bohaterskim: człowiekiem charakteru może być ten tylko, kto nie zważa na drobne przyjemności czy nieprzyjemności, ani też na przykre dla niego następstwa, lecz kieruje się zawsze siłą woli i dążeniem do moralnej doskonałości. Człowiek, nie liczący się z sobą, tak się do tego przyzwyczajają, iż nawet mu na myśl nie przyjdzie, że trzeba się stale sprawdzać, kontrolować i czuć bezustannie nad sobą. Choćby nie był kłamcą, lekkomyślność, brak odpowiedzialności popchną go w tym kierunku.

Często się słyszy również, iż kłamstwo jest dozwolone, kiedy uważamy, że przez wprowadzenie w błąd zapobiegniemy szkodzie lub uczynimy coś stanowczo dobrego. Zapomina się przytem, że względem ludzi, głoszących taki pogląd, tracimy wszelkie zaufanie, bo czyż wiemy, że oświadczenie, które nam czynią, nie należy właśnie do tych wypadków, w których według ich przekonania przez mijanie się z prawdą, ma być osiągnięty cel dobry dla nas lub dla bliźnich.

Nawiązując do kłamstw szkolnych, sądzę że tę plagę mogłoby zmniejszyć umiejętne i taktowne postępowanie profesorów w stosunku do uczniów. Z chwilą, kiedy uczeń przekona się, że wychowawca nawet w drobnostkach stara się mu wskazać, że nie kieruje się żadnym uprzedzeniem i nie działa złośliwie, a w odkrywaniu wad i usterek ma na oku tylko jego własne dobro—uczeń nabiera do niego zaufania, uważa go za niezbędny przewodnik i starszego, doświadczonego przyjaciela. Postawmy jednak i sobie równie wysokie wymagania. Pokażmy, że w sercach naszych tkwi żywe i gorące poczucie prawdy, że chcemy kroczyć jej drogą, aby tem lepiej ułatwić wychowawcom pracę, aby choć w części przyczynić się do wspólnego dobra. Ale inicjatywa musi wyjść od nas.

Drugim środkiem, który wiele może zdziałać na tej niwie, w pierwszym zaś rzędzie w stosunku ucznia do nauczyciela, jest dobrze zorganizowany i umiejętnie prowadzony, o określonej szerokości działalności, samorząd szkolny, ujęty w formę gmin klasowych. Lecz należy baczyć, ażeby

zadania jego wszyscy rozumieć tak, jakimi są w rzeczywistości. W przeciwnym bowiem razie cel samorządu zostanie spaczony, co pociągnie za sobą złe skutki, wprowadzając niesnaski i biurokracyzm niepotrzebny w stosunki koleżeńskie.

M. Kondzielska.



REFLEKSJE.

—o—

Prof. R. Dyboski w artykule *Uniwersytety a wychowanie obywatelskie* w zbiorowej książce o *naprawę Rzeczypospolitej* stwierdza, że „główną funkcją inteligencji w normalnym społeczeństwie musi być... sternictwo polityczne narodu“. Inteligencja przeto winna czynnie ustosunkować się do świata, obowiązkiem jej brać w życie publicznym aktywny udział. Uzależnionem to jest od czystości jego atmosfery i poziomu kulturalnego. Chcąc zaś podnieść etykę polityczną, należy rozpowszechniać i podnosić wiedzę obywatelską i kulturę parlamentarną, trzeba wychować najpierw człowieka społecznie. Chodzi o to, aby z wyższych uczelni wychodzili ludzie, którzy potrafią się orjentować w najważniejszych zagadnieniach naszego narodowego i państwowego życia. Chodzi o to, aby uniwersytety dały kadry inteligencji o odpowiednim przygotowaniu faktycznym, rzeczowym, mającej dalej pewne wyrobienie formalne i wyszkolenie oratorskie. Bo—zdaniem Szan. Autora—forma tyleż znaczy co i treść.

Dobrym środkiem—poza innymi czynnikami—mogą być akademickie kółka dyskusyjne, zorganizowane na wzór klubów politycznych (angielskie „Debating Societies“). Ustrój ich jest następujący: Studenci zgromadzają się stale w określonych terminach. Nie są to więc wiece, zwoływane pod wrażeniem chwili czy sztandarem nastroju. Na porządku dziennym widnieje zawsze kwestja doniosłej wagi. Zagadnienie nosi charakter tezy i wolno przemawiać tylko pro lub contra. Pozwala to uniknąć wodnistości, t. zw. pływania i frazesów, wyrabia męską stanowczość myśli. Oświetlają sprawę dwaj generalni mówcy, następnie rozwija się dyskusja. Toczą się prawdziwe obrady, przy czem mówić można jedynie z pamięci. Bez kartek, treściwie i jasno. Bez zgrzytów z polityki dnia.

Dziwnie aktualne oblicze posiadają powyższe uwagi prof. Dyboskiego. To też myśl dyskusyjnych klubów politycznych na terenie akademickim winna znaleźć warunki realizacji. Nikomu nie zależy, by powstawały nowe zrzeszenia pod znakiem narodowego gadulstwa. Jądro rzeczy tkwi w tem, aby oczyścić atmosferę życia młodzieży, podnieść chociażby poziom zebrań pod względem treści i formy, ulepszyć — słowem — jakość rezultatów w pracy nad zdobyciem gruntownej wiedzy obywatelskiej. Jedno tylko zastrzeżenie. W takich kółkach muszą się znaleźć ludzie o odmiennych, wprost biegunowo odmiennych, zapatrywaniach. Inaczej w dyskusji ideowej za

najwাল্লেখ্য argument poczytywać się będzie zarzucenie komuś, że nie jest socjalistą czy narodowcem... Różnica przekonań stanowi konieczny warunek wszechstronnego ujmowania wszelkich zagadnień, uchroni od ciasnoty ideowej, powstrzyma od płytkiego doktrynerstwa. Wtedy tylko może zrodzić się wzajemne zrozumienie i szacunek, poszanowanie cudzych poglądów. Wtedy młodzi rzetelnie przygotowują się do zadań, jakie wkłada na obywateli nasza Konstytucja. Głęboka treść mieścić się będzie w pięknej formie.

Zastanówić się nam teraz wypada, o ile owe dyskusyjne kółka polityczne mają rację bytu na terenie szkoły średniej. Nasuwają się tutaj liczne wątpliwości. Raczej nie, niż tak. Aby praca w takim klubie była prowadzona realnie i owocnie, trzeba, by każdy operował już dużym zasobem materiału faktycznego. Tymczasem młodzież szkolna z jednej strony nie posiada niezbędnego przygotowania rzeczowego, z drugiej—ma silny pęd w kierunku jednostronnego uogólnienia na podstawie pojedynczych faktów. Nadto więcej przeżywa się zagadnieniami, wobec których należy zachować powagę i trzeźwość, krytyczny sąd. Trudno zaś mówić o istotnie twórczej pracy, kiedy sporne nieraz i bardzo względne kwestje uważa się za niezbitą pewniki i nie dające się kwestjonować dogmaty; tem trudniej, kiedy bez uprzedniego przemyślenia szeregu zasadniczych zagadnień, decyduje się nasuwające się zjawisko w myśl z góry przyjętej doktryny, kiedy, na podstawie jedynie pewnych nastrojów uczuciowych lub „tak mi się zdaje“, ustosunkowujemy się do najważniejszych przejawów życia.

Czyli: skutek tylko specjalnej psychiki sztubackiej otrzymamy rezultaty nikłe: może się wytworzyć typ człowieka ciasnego, płytkiego pod względem treści dogmatowca, co zaś do formy—krzykacza. Reasumując, muszę myśli dyskusyjnych kółek politycznych, uznając ją zasadniczo za słuszną, w szkole średniej zakwalifikować do rzędu projektów przedwczesnych. Inna rzecz, że młodzież już tutaj winna otrzymać wstęp do gruntownego wykształcenia obywatelskiego. Niech indywidualnie obserwuje rozgrywane się w kraju wypadki, niech bacznie przypatruje się wszelkim przejawom życia publicznego w państwie, niech krytycznie interesuje się prądami i kierunkami ideowymi w społeczeństwie oraz pozna odnośną literaturę. „Nikt nie powinien opuszczać dzisiaj państwowej szkoły średniej bez znajomości konstytucji i głównych zarysów maszyneryj ustawodawczej i administracyjnej swego państwa, tak samo, jak nikt nie powinien przystępować do pierwszej komunji św. bez znajomości katechizmu. Słowem, sądzę, że nie będzie przesadną rzeczą wymagać, by abiturjent umiał ze zrozumieniem przeczytać gazetę.“¹⁾

Echa.

Port we Władystoku.

—o—

Wesoły, słoneczny dzień. Słońce zawisło ponad malowniczymi wzgórzami Władystoku i kąpie spływające ukośnie promienie w czystych falach zatoki. Stoję na brzegu kamiennej przystani i chłonę w siebie pierwsze wrażenia, odebrane po zetknięciu się z nowym, co mi się odkrył, światem zupełnie odmiennym od świata, w którym się dotychczas obracałem. Nozdrza me drażni dziwny, nieznanymi zapachami wody morskiej, smoły i ryb.

Obok mnie siedzi, zwiesiwszy nogi nad wodą, mały chińczyk, młodociany rybak amator. W rękę trzyma sznurek wędki, oczy utkwili nieruchomo w wodę. Ma podługne, kose oczy jak migdały i żółtą cerę. Przemawiam do niego po rosyjsku, pytając o głębokość wody w zatoce. Odpowiada przyciszonym głosem, nie spuszczać oczu z gładkiej powierzchni wody:

„Nic nie mów. Moja¹⁾ ryby łapie“.

Zostawiam go w spokoju i pogrążam się nadal w obserwację widoku. Widok jest wspaniały i tem większe czyni na mnie wrażenie, że jest dla mnie zupełną nowością przez swą najważniejszą część składową—morze. Morze to otwarte, tajemnicze i wabiące widnieje w dali, gdzie schodzą się dwa ramiona gór, obejmujące zatokę i tworzące port władystocki. Na wierzchołkach tych gór widnieją szare budowle portów i bastjonów, które należą do jednej z najsilniejszych twierdz Dalekiego Wschodu. Poniżej schodzą ku zatoce domy miasta, tam dalej nieliczne i małe, im bliżej do mnie, tem gęstsze, tem piękniejsze i okazalsze. To ulica Światłańska, biegnie wzdłuż lewego ramienia ogromnej podkowy, utworzonej przez zatokę. Ulica ta jest prawie jedyną główną ulicą Władystoku. Ciągnie się parę kilometrów i niczem się nie różni od ulic wielkich europejskich miast. Poznają wieżyczkę kościoła katolickiego i szczyty kilku pokątniejszych gmachów. Są to konsulaty i biura japońskie lub amerykańskie. Bliżej mnie wznosi się okazała cerkiew o cebulastych kopułach—jedynie piętno rosyjskości tego miasta, które pozatem robi wrażenie zupełnie kosmopolityczne.

Przenoszę znowu wzrok na zatokę i przystań. Pośrodku zatoki stoją dwa ogromne, dwukominowe parowce i trzy statki wojenne pod flagami: japońską, amerykańską i francuską. Potężne ich kadłuby odbijają rażąco od promiennego tła, a wieże z armatami zdają się grozić miastu. Kominowy jednego z parowców zięją kłębamii gęstego, czarnego dymu, a na pokładzie można rozróżnić ludzi biegających gorączkowo tam i napowrót w pośpiechu przygotowań do odjazdu. Bliżej przystani i przy samym brzegu tłoczą się statki mniejsze, przeważnie kupieckie, tworzące istny las masztów. Między niemi snują się nieprzeliczone mrowia łódek żaglowych i motorowych, dużych i małych. Najciekawsze z nich są łódki przewoźników

¹⁾ „Uniwersytety a wychowanie obywatelskie“ R. Dyboski.

¹⁾ Moja—Chińczyk, mówiąc o sobie po rosyjsku, nigdy nie powie ja, tylko moja, np.: moja była, moja chodziła, co znaczy: ja byłem, ja chodziłem.

koreańskich. Długie i płaskie są kierowane przez jednego człowieka, który stoi z tyłu i kręci długim wiosłem, osadzonym w miejscu, gdzie zwyczajna łódka ma ster. W tym więc wypadku wiosło jest czemś w rodzaju śruby okrętowej. Szybkość, osiągnięta przez te łódki, jest dość znaczna.

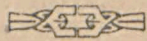
Wśród parowców spostrzegam okręt żaglowy, taki sam, jakie widziałem na rysunkach, ilustrujących angielskie powieści morskie. Ze swemi trzema masztami, z białym płótnem zwiniętych żagli i chaosem dziwnie poumieszczanych rei i lin wydają się pięknym wspomnieniem przeszłości wobec nowoczesnie wyglądających parowców.

Odczytuję wypisaną z tyłu żaglowca nazwę: „Neiscu Maru“. Namalowane obok złotymi literami trzy hieroglificzne znaki dowodzą, że statek jest japoński.

Splywa na mnie wizja przeczytanych niegdyś powieści Sieroszewskiego, Jacka Londona i innych. Czym się kiedy spodziewał, że to wszystko zobaczę?

Zamyślony odwracam się i odchodzę wolnym krokiem ku miastu.

Zygmunt Łotocki.



O naprawę Rzeczypospolitej.

—o—

W chwili, kiedy Polska przystępowała do budowy zrębów pod swoją państwowość, naród wychowany na tradycjach poezji romantycznej, wierzył, że praca ta będzie się posuwać szybko naprzód. Tymczasem zarówno warunki zewnętrzne (nieustalone granice, wojna), jak i przyczyny wewnętrzne (podział na dzielnice i odmienne w zaborach ustroje administracyjne, wybujałe partyjnictwo i dyletantyzm polityczny, ciągły spadek waluty oraz przewaga interesów jednostkowych i klasowych nad dobrem całości)—wszystko to hamowało twórczy wysiłek, pociągnęło za sobą różne niedomagania, wykazało braki. Wiele z nich dałoby się usunąć, inne były nieuniknione.

Pod tym względem społeczeństwo stawiało państwu wymagania, którym niezawsze można było podołać, co musiało spowodować rozczarowanie. W rezultacie mieliśmy niewiarę i pesymizm w stosunku do Polski. Nie uświadamiano sobie, że to, co jest wynikiem pracy pokoleń, owocem długiej ewolucji, nie może być osiągnięte za jednym zamachem, chociażby to był wysiłek wielki i zbiorowy. Sądono, że tam, gdzie potrzeba ofiar i trudów ze strony ogółu, gdzie winna się znaleźć cegielka każdego obywatela, wystarczy inicjatywa i poświęcenie jednostki. Nie umiano spostrzec i docenić tego, czego Polska dokonała w ciągu czterech lat niepodległego bytu (co zaś dotąd zrobiła, krótko i cyfrowo przedstawił prof. St. Kutrzeba w „Tygodniku Ilustrowanym“ Nr 345 br).

Faktem jednak pozostanie, że dzisiaj państwo polskie przeżywa chwile nadzwyczaj ciężkie. Wszyscy się też godzą, że należy przeprowadzić gruntowną sanację stosunków we wszystkich dziedzinach, oprzeć gmach państwowości na trwałych podstawach. Cały naród winien skupić się pod

znakiem odrodzenia, musi stanąć dzisiaj pod sztandarem „naprawy Rzeczypospolitej“. Lecz, chcąc ulepszać, trzeba wiedzieć, co podpora potrzebuje, gdzie tkwi zło, co domaga się lekarza. Otóż zwrócić uwagę na ważniejsze zagadnienia współczesnego życia narodowego w Polsce, wskazać odważnie braki i dorywczość, przestrzec przed nieszczęsną spuścizną ery porozbiorowej, poddać rzeczowej krytyce niedomagania, wysunąć zarazem środki zaradcze, podać sposoby usunięcia wad—poczytuje sobie za zadanie zbiorowa publikacja p. t. „O naprawę Rzeczypospolitej“. Piękna ta książka zawiera prace profesorów uniwersytetów: krakowskiego, poznańskiego i wileńskiego. Całe dzieło rozpada się na cztery księgi traktujące o życiu moralnym, ustroju państwowym, nauce i szkole oraz o zagadnieniach gospodarczych.

Słusznie postąpili autorzy, umieszczając na pierwszym miejscu ocenę tętna życia duchowego w Polsce. Słusznie, bo można nawet zaryzykować twierdzenie; że doputy nie nastąpi upragniona naprawa Rzeczypospolitej, dopóki nie naprawią się dusze jej obywateli. Pierwszym krokiem na tej drodze niech będzie naprawa własnych sumień, udoskonalenie jaźni w ogniu walk wewnętrznych, miłość prawdy i wykorzenianie kłamstwa i fałszu we własnym sercu. „O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze, o tyle polepszycie prawa i powiększycie granice“. Trzeba ukochać, o młodzieży, wielkie prawdy etyczne, wartości wiecznie żywe. Po wojnie praca etyczna zatoczyła szersze kręgi. Zbudziło się większe zainteresowanie kwestjami, obok których ciasny materializm przechodził obojętnie. Zrodziła się u jednostek—obok ogólnego obniżenia się poziomu moralnego—tęsknota za ideałem. „Człowiek zaczął odczuwać potrzebę wejścia w siebie, szukać jakiegoś stałszego punktu oparcia w swym wewnętrznym życiu, pragnął znaleźć jakiegoś przewodnika, któryby go wywiódł z pustki moralnej“. „A to odrodzenie staje się z każdym dniem coraz bardziej piekącą sprawą. Jest zaś to sprawa i polska i powszechna zarazem“ („W przełomowej chwili“ K. W. Kumaniecki). Dalej zaś prof. M. Zdziechowski stwierdzając, że nasza religijność jest powierzchowna i płytką, nie płynie głębokim nurtem w świadomości każdego, zwalcza t. zw. gospodarski pogląd na religię i zaznacza, że chrześcijaństwo ma się dla nas stać „nie zagadnieniem, lecz życiem, namiętnością, dramatem codziennym, walką, wysiłkiem“ („Kościół a inteligencja“).

Nie miejsce tu pisać o tem szeroko i wylać cenne myśli, rozrzucone w każdym artykule. „O naprawę Rzeczypospolitej“—mam nadzieję znajdzie się w rękach każdego inteligentnego Polaka, miłującego Ojczyznę. Nie dosyć bowiem kochać, trzeba jeszcze znać. Zresztą jedno wypływa z drugiego. Książka omawiana nie potrzebuje reklamy. Każdy, kto zapozna się z nią, przekona się o jej wartości. „Rozstrząsa—czytamy we wstępie—objęte jej treścią zagadnienia z jednego tylko stanowiska: serdecznej miłości Ojczyzny. Staraliśmy się ogarnąć poruszone zagadnienia ze stanowiska całości, pragnąc, by w silnej i sprawiedliwej Polsce dojrzał naród zdrowy moralnie, światły, gospodarny i obdarzony państwowo-twórczym zmysłem“.

a.

Dumka ukraińska.

—o—

Hej, widzę was stępy i kurhany...
Hen daleko, po Dnieprowe brzegi
Wzorzyste kołyszą się dywany,
W cudowne haftowane ściegi...

Widzę tę dal bezbrzeżną, bez końca,
Jak chwieje się przy wiatru podmuchach,
Lub, nieruchoma chwilą, do słońca
Uśmiecha się w kwiecistych łańcuchach.

Słucham... ale rzadki głos człowieka...
Chyba zaszeleści między krzaki
Zajac, kiedy spłoszony ucieka...
W step pomiędzy trawy i bodźki,

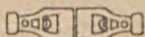
Chyba czajka zakwili żałośnie,
Lub fujarka ozwie się pastucha...
A czasem, głosem smutnym o wiośnie
I kozaku, nuci gdzieś dziewucha.

Hen, hen, tam na wzgórzach białe chaty
W sadach skryły swe słomiane głowy
Między drzewa, obsypane w kwiaty,
Jakby w śnieżny kryte płaszczy zimowy.

Widzę... środkiem wody swoje toczy
Cicho, w słońcu mieniąca się, rzeka,
Tak spokojna, że nie zgadną oczy
Nieraz: fala czy to brzeg ucieka.

To—Boh... A hen wysoko, u góry
Kraczą orły stepowe i płyną
Wolno przez jasne niebios lazury
I na ciebie patrzą—Ukraino!

St. Zaliwski.



Trojański koń.

—o—

(Nowelka)

Ciąg dalszy.

Dni szybko mijały Serwacemu w ciągłej pracy. A miał jej nie mało. Prócz swoich lekcji miał jeszcze kilka korepetycji, gdyż chciał dopomóc matce, wdowie, pracującej w fabryce.

Przywykł już do tego trybu życia i bynajmniej nie skarżył się nigdy na przepracowanie. Przeciwnie! był zadowolony, że mógł się zagrze-

bać w nawale pracy, aby zapomnieć o tem, co go najwięcej teraz trapiło. Oto nie mógł zbliżyć się i zżyć się z kolegami. Coś niewidzialnego, coś nieubłaganego, jakieś fatum okropne od pierwszego pamiętnego dnia przybycia do klasy stało pomiędzy nim a resztą klasy. Może zbyt nia nieśmiałość Mochyły była powodem, może nędzny ubiór i cicha pokora, wypisana na szczerej twarzyczce chłopca, dała sposobność uczynienia zeń w klasie przedmiotu popychania, przezwisk i kpin.

Stał się słowem ofiarą klasy IV-ej. Najdziwniejsze przezwiska były dobierane do jego osoby, jednak, rzecz charakterystyczna, nie mogli mu nadać stałego przezwiska, jak każdemu innemu w klasie.

To też każdy dowcipkował według swego upodobania. Najczęściej sypały się na biednego posiadacza berdyczowskiego ubrania te trzy przezwiska: „Margaryna, Słoń, Orangutang.“ Robiono mu również najrozmaitsze kawały. Wyciągano z kieszeni śniadanie, chowano czapkę i książki, słowem, wszystko, co tylko przychodziło do pomysłówych głów przyszłych obywateli kraju.

Biedny chłopiec drżał na całym cieple z chwilą gdy przekraczał rano próg gimnazjalny. To była chwila straszna. Czuł, że zaraz koledzy będą wytykać go palcami, że cały komplet obelg i przewisk skierują na jego osobę. Mochyła w takich chwilach musiał toczyć walkę ze łzami, które cisnęły mu się do oczu. Biada mu, jeśliby nie wyszedł z niej zwycięzko. Ryczało wówczas wszystko wokoło przedrzeźniając i dając mu dowcipne rady, aby nosił z sobą na lży prześcieradła, ręczniki, kubelki, butelki i tem podobne naczynia.

Czas jednak upływał. Zima szybko znikła gdzieś, jak sen, jak sam śnieg, który raptownie stopniał przy ciepłych podmuchach wiosny. Pierwsze dni kwietnia złościły promieniami ciepłego wiosennego słońca mury gimnazjalne, a w nich setki młodych piersi chciwie wchłaniały świeże, zdrowe powietrze, płynące z wonią kwiatów przez otwarte okna klas.

W klasie IV-ej lekcja historii. Na katedrze siedzi zgarbiony o czarnym zaroście i sępim wyrazie twarzy profesor. Z pod jego okularów, głęboko osadzonych na orlim nosie, biegło spojrzenie przenikliwe, zimne jak stal, przed którym każdy uczeń truchlał Niepospolity znawca historii, wymagał, aby wszyscy uczniowie umieli ją niemal jak pacierz. Jeśli ktoś nie umiał, profesor wpadał w gniew i chociaż często dwójki w tym wypadku nie stawiał, jednak burczał, gestykulował rękami i biegając szybko po całej klasie, wymyślał wtedy bardzo dobitnie.

Zwykle na lekcji historii była wielka cisza. W tym dniu jednak zbyt powabnie wyglądały zielone wieńce wzgórz, widziane przez okna, zbyt pieszczotliwie słoneczne promienie całowały młode buziaki.

To też w klasie było dość głośno. Stłumiony gwar młodych głosów przypominał wnętrze rojnego ula. Profesor posadził właśnie jednego ucznia, który przed chwilą odpowiadał, spojrzał uważnie po klasie, zatopił swój stalowy przenikliwy wzrok w Serwacym i wycedził donośnym powolnym głosem. „Mochyła! opowiesz nam wojnę trojańską!“

Serwacy szybko uniósł się w ławce. Był zadowolony z tematu. Znał go równie dobrze jak pięć przykazań kościelnych. Płynnie i wolno zaczął snuć historję wojny trojańskiej od czasów owego wesela, na którym powstał spór o złote jabłko Erydy. Ale właśnie, gdy zaczął opowiadać o porwaniu Heleny przez Parysa, w klasie rozległy się przytłumione chichoty, przypominające parskania młodych żrebaków. Dało się wyczuć, że temperatura humorów w jednej chwili podniosła się o 200 celsjusza. Oto siedzący obok Serwacego „żółtodziób” korzystając, że kolega odpowiada, szybko wsunął mu rękę do kieszeni, a następnie powoli, demonstracyjnie wyciągnął z rękawy śniadanie, które wlot zaczęto wkładać pałaszować z apetytem, pokazując kawałki odpowiadającemu Serwacemu. Profesor, zatopiony w historję wojny trojańskiej, był jakby głuchy i ślepy. „Te, Serwac! może jeszcze masz coś do zjedzenia!” szeptał „Sadło”. Elegant w wykrochmalonym kołnierzyku dowcipkował półgłosem: „Parys porwał Helenę, a „żółtodziób” śniadanie Serwacemu!

Wesołość ogarnęła wszystkich. Mochyła udał że nic nie widzi i nie słyszy i opowiadał dalej. Z ust jego płynęła nieprzerwana nić wypadków pod murami Troi. Profesor z zadowoleniem przysłuchiwał się chłopcu, ogarniając go przenikliwym wzrokiem.

„Tss... tss...” syknął ktoś z końca klasy „zrobicie mu jaką stypę!” Kilku kolegów siedzących obok Mochyły, pochyliło się jak na komendę pod ławkę. Serwacy uczył, że koło jego nóg przeprowadzono jakąś podejrzaną operację. Szarpnął nogą... Napróżno jednak, trzymano ją w stalowych uściskach. Chłopcu zaczęły się rwać słowa... Zbladł... Począł się jękać.

Profesor zdziwiony uważnie spojrział na ucznia. „Mochyła dalej! doszliśmy już do...” Historyk czekał na odpowiedź. Lecz Mochyła stał z zacisniętymi ustami, policzki mu drgały. Milczał. Oczy były pełne łez. „Mochyła, huknął zniecierpliwiony historyk, doszliśmy już do... no do...” i znów daremnie czekał na odpowiedź. Wreszcie wrzasnął na cały głos, żywo gestykułując: „Doszliśmy do trojańskiego konia! Ty, durniu trojański koniu! No! Żeby zepsuć sobie tak świętą odpowiedź! Ach ty trojański koniu!”

W ławkach pochyliło się wszystko od śmiechu, jak dojrzałe zboże przy podmuchu wiatru. Doprowadzony do ostateczności Mochyła drżał. Gardził jednak skargami. Błagalnie spojrział na pochyłonych przy nim kolegów, gdy jednak ujrzał, że już rozsznurowany bucik ściągają mu właśnie z nogi, stracił przytomność. Oczy mu zaszczyły krwią, policzki poczerwieniały. Uchwycił się mocno rękami za ławkę i kopnął z całej siły „Żółtodzioba”, który trzymał już w ręku jego bucik.

Bucik wyleciał mu z rąk na środek klasy. Jednocześnie grzmot śmiechu wstrząsnął posadami gimnazjum i poleciał przez okna daleko, hen na zielone łąki. „Te, nie wierzgaj!” krzyczeli koledzy ze wszystkich stron. „Trr... trr... Trojański koń wierzga! Ha! ha! ha!” „Do stajni z nim”, „Owsa! owsa! „Podkowę zgubił!”—Krzyk i gwar był tak wielki, że historyk nie mógł się zorientować, co się stało. Daremnie starał się uspokoić klasę. Wreszcie rozgniewany chwycił za dziennik i szyb-

ko wybiegł po wychowawcę. Gwar spotężniał. „Trojański koń się znarowił!” krzyczał jakiś znawca końskiego sportu. W ogólnej wrzawie słychać było tylko urywane pojedyncze wołania: „Trr... trr...!” „Wio! no, gniady!” Ktoś deklamował po rosyjsku: „Czto ty rżesz moj koń rietiwij...” Mochyła, blady, jak trup stał w skarpetce na swoim miejscu. W oczach nie było łez. Malował się w nich dziki obłęd.

W tej chwili jego bucik, gwizdząc, wyleciał przez otwarte okno.

Mochyła został dotkliwie ukarany. Nie wydał jednak żadnego kolegi, całą winę biorąc na siebie. Podczas badań, gdy ochłonął nieco z gniewu, opowiedział dyrektorowi, że sam zdjął bucik przed odpowiadaniem. Miał być nawet usunięty z gimnazjum, baczając jednak na spokojny charakter chłopca, skończyło się wszystko dwudziestogodzinną „kozłdą”

Dzień ten jednak dla Serwacego miał epokowe znaczenie. Był on dla niego czemś w rodzaju Rubikonu. Przedewszystkiem był to prawdziwy dzień chrztu koleżeńskiego. Przewisko bowiem „Trojański koń” pozostało odtąd nierozdzielnie z nim związane przez cały czas pobytu w gimnazjum. Z drugiej strony, nastąpiła zmiana stosunków z klasą. Jakkolwiek i nadal ciągle docinano mu, krzyżąc, aby „nie wierzgał” lub żeby nie zapominał, że „nie jest pod Troją!” jednak czuli dla Serwacego pewnego rodzaju szacunek.

Taki stoicyzm i heroiczne zachowanie się w czasie owej nieszczęsnej lekcji, a szczególnie bezprzykładne poświęcenie się za winy innych, podziałały jednak na to hałaśliwe, cięte i pozbawione, zdawałoby się, serca zbiorowisko urwisów.

„Sadło”, który kilkakrotnie przedtem „wędził” śniadania Serwacemu, serdecznie go teraz częstował swymi porcjami, może nieraz nawet z bólem serca, gdyż był znanym pieczeniarem w gimnazjum.

Sarwacy odżył. Zdawało mu się, że to dopiero teraz wystrzelił pierwszy promień wiosennego słońca, że dopiero teraz gałązki pokrywają się zielenią. Czuł w duszy tyle błogości i rozrzwienia, że gotów był oddać pierwszemu z brzegu koledze ostatnie strzępy swego „berdyczowskiego” ubrania, gotów był wszystko, co go otaczało, zawrzeć w gorącym, serdecznym uścisku swych chudych, kościstych ramion.

Nie spodziewał się jednak, że za parę dni nietylko zupełne i ostateczne zbratanie z kolegami, lecz nawet stanie się wprost bohaterem i ulubieńcem klasy. Dzień ten był dla niego dniem prawdziwej chwały, epoką w jego życiu gimnazjalnym i chwilą nie mniej ważną, jak dla Napoleona dzień bitwy pod Austerlitz lub Marengo

Stało się to podczas czwartej lekcji. Do klasy wszedł, a raczej wtoczył się (zresztą trudno było naprawdę określić ten rodzaj wędrówki o ruchu falisto-wachadłowym) profesor, ba! profesor „ruskawo jazyka”, gospodin Riumkochlapow. Jegomość ten znany był w gimnazjum, jako zajadły polakozerca, który był gotów duszę wydrzeć każdemu polakowi, oszpecić ją trucizną rosyjskich „środków” zalecanych przez „władze”, lub też zaszczepić

w niej mongolskie popędy, prowadzące do zupełnego jej zdziczenia. Był on znany i poza gimnazjum. Przedewszystkiem, znały go najlepiej ubikacje, ozdobione sztylami z napisami: „Raspisowoczno i na wynas”. Zresztą o tej znajomości najlepiej świadczył szlachetny nos pana profesora, przypominający konstrukcją jakąś geometryczną figurę w rodzaju ostrosłupa ściętego z dużą brodawką na końcu, a kolorem zbliżony do buraków.

Zwykle przed rozpoczęciem lekcji szykował przez kilkanaście minut polaków, obrażając godność narodową i zmuszając wszystkich do słuchania bredni bezpodstawnych, zapewne powstałych w pomysłowej jego głowie, lub też zaczerpniętych z podręcznika rosyjskiej historii Iłowajskiego. W tym dniu pan Riumkochlapow był w swoim żywiole, to znaczy żywiole rosyjskim, eo ipso alkoholowym.

W takich wypadkach denerwowało go wszystko: mury, łąki, okna, widok miasta, świergot ptactwa, oraz twarze tych malców, drwiąco spoglądających na niego. Bo przecież to wszystko było polskie! Nawet to powietrze, które chciwie łykał, miało w sobie tyle polskości, tyle odrębnych dla rosyjskiego powonienia zapachów półmazowieckich tyle żywiołu zupełnie mu obcego, wrogiego, a jednak tak niezbędnego niestety dla jego organizmu.

Pan profesor irytował się. On właśnie chciał dowodzić, że to wszystko, co go otacza, jest „istinnie ruskie”, a tu mu kłam zadaje powietrze! Nędzne powietrze! Riumkochlapow gotów był wypłuć ze swych płuc to powietrze. Był zły. Zaczął tedy mówić dość ochryplym głosem o pięknie rosyjskiej literatury a wreszcie, że tylko Rosjanie naprawdę byli autorami najlepszych dzieł literackich.

„Ruskije tolko umiejut pisat’”, a wy przywiśleńcy czto? he? Wy tolko miatieży ustraiwat’ potraitiie ha? Mierzawcy! ¹⁾ Profesor wpadł w furję pięknej rosyjskiej kultury językowej i nie wiedział już zupełnie, co mówi. Ślina sączyła mu się po brodzie, mętnym wzrokiem spoglądał wkoło i, zataczając się, chodził pomiędzy ławkami.

(Dokończenie nastąpi).

Z życia młodzieży.

Dn. 2 i 3 ub. m. odbyła się w Warszawie zwołana z inicjatywy Organizacji Polskiej Młodzieży Niezależnej konferencja apolitycznych związków młodzieży szkolnej, w których wzięły udział: Organizacja Młodzieży Narodowej Szkół Średnich, Organizacja Polskiej Młodzieży Niezależnej i Związek Polskich Samopomocy Uczniowskich.

Uczestnicy Konferencji, po wspólnym zapoznaniu się z ideologią, celami i zadaniami reprezentowanych stowarzyszeń i uznawszy, iż wspólną platformą, na jakiej one stoją, jest niezależność młodzieży od wpływów politycznych starszego społeczeństwa, postulat wychowania ludzi samo-

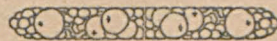
dzielnych skonsolidowanych jako indywidualności, kształtujących swój światopogląd na drodze niezależności i myślowej i twórczej ewolucji ducha młodzieńczego, wypowiedzieli się za dążeniem do ścisłej współpracy oraz ewentualnego połączenia trzech stowarzyszeń w jedną całość.

Jako sposób urzeczywistnienia ewentualnego połączenia wysunięty był projekt zlikwidowania O.M.N.s.s.i.O.P.M.N. na rzecz kół członków czynnych Związku Samopomocy Uczniowskich.

Projekt powyższy przedstawiony zostanie zarządom organizacji do rozpatrzenia i dyskutowany będzie na następnem posiedzeniu Konferencji, które ma się odbyć w marcu b. r.

Stan szkolnictwa średniego w r. szk. 1921/22.

Na obszarze Rzeczypospolitej było w r. szk. 1921/22 szkół średnich ogółem 721, z tego państwowych 231 (męskich 173, żeńskich 29, koedukacyjnych—29) prywatnych 490 (męskich 115, żeńskich 231, koedukacyjnych 144). Uczniów ogółem było 204,804, w tem chłopców 123,154, dziewcząt 81,650 Z tego w szkołach państwowych uczniów 85,884 (chłopców 72,226, dziewcząt 13,618), a w prywatnych uczniów 118.920 (chłopców 50.888, dziewcząt 68,032).



Kronika.

Ku czci Kopernika.

19 lut. w 450 rocznicę urodzin największego geniusza Polski M. Kopernika urządzono dla obu gimnazjów obchód w celu uczczenia Tego, co to „wstrzymał słońce, wzruszył ziemię, polskie wydało Go plemię”. Na program obchodu złożyły się: występ chóru, deklamacja kol. Tuzówny M. i przemówienia: kol. Kisielewskiego Z. (życie Kopernika i jego praca na polu astronomji), kol. Petkowicza W. (Kopernik jako ekonomista) i p. prof. Kisielewiczówny H. (Kopernik na tle epoki i jego przynależność narodowa).

Cały świat naukowy wszystkich narodów kulturalnych obchodzi uroczyste wspomnianą rocznicę. Wszędzie w Polsce odbyły się uroczystości ku czci Kopernika. Trzeba również pomyśleć o trwałym wyrazie tego hołdu. *Pomnikiem godnym największego Polaka, twórcy nowoczesnej astronomji, może być tylko narodowe obserwatorium astronomiczne.* Datki nadsyłać można pod adresem: Prof. dr. M. Ernst, Zakład astronomiczny Uniw. J. Kazimierza, Lwów ul. Długosza 8 lub: Obserwatorium im. Kopernika, Warszawa, Wolna Wszecznica.

Zebrania.

1. Młodzież, stojąc zdala od wiru walk partyjnych, musi jednak mieć oczy otwarte na nie-domagania narodowe, interesować się bacznie tem, co się dzieje w kraju. Naród zaś nasz przeżywa chwile osobliwie ciężkie. Dobrze się więc stało, że środowisko O. M. N. pomyślało o zapoznaniu starszych uczniów z najważniejszymi zagadnieniami polskiego życia. Odbyły się w tej sprawie dwa

¹⁾ Rosjanie tylko potrafją pisać, a wy „przywiśleńcy co? ha? Wy tylko rokosze (powstania) potraficie urządzać” ha? Nikczemnicy!